Nr. 49. We Lwowie dnia 6. grudnia 1896. Rok 4.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki „Kurjera Lwowskiego"

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha

PIOTR WYSOCKI.

(DOKOŃCZENIE.)

W dziesięć dni po wypadkach, które powiedziały światu, że stopa carska nie zmiażdżyła Polski, że ojczyzna Chrobrych jest, myśli i czuje, — Wysocki ogłosił w dodatku nadzwyczajnym do »Kurjera Warszawskiego« obszerny artykuł własnego pióra p. t. *Wiadomość o tajemnem Towarzystwie, zawiązanem w celu zmienienia rządu i ustalenia swobód konstytucyjnych w Królestwie Polskiem, oraz działanie wojenne Szkoły podchorążych w nocy z dn. 29. na 30 listopada.* Praca powyższa, przedrukowana, pod zmienionym tytułem*) w Bibljotece ludowej polskiej«, wydawanej w Paryżu, posiada obok historycznej wartości i psychologiczne znaczenie, jest jakby okienkiem, przez które zajrzeć można do duszy autora.

»Nie czcza chluba, że sam miałem udział w sprawie szlachetnej narodu, powstającego z poniżenia, zniewala mnie do pisania w tej materji« — tłumaczy się na wstępie Wysocki — lecz chęć przekazania »pamięci następców naszych to, co nigdy niema być zapomnianem«. Jakoż wspominając z konieczności w toku opowiadania o sobie samym, naśladuje w skromności Sokratesa i staje się — ze szkodą nawet dla rzeczy — zwięzłym i oschłym. Słowo jego odzyskuje siłę, polot, barwy i ciepło wówczas dopiero, gdy składa należny hołd bohaterstwu towarzyszy lub ocenia doniosłość wypadków. Wogóle jednak rzecz biorąc, »Pamiętnik« Wysockiego zbliża się tonem i stylem do żołnierskich, na bębnie kreślonych raportów i zdradza człowieka, którego wielkość polegała na granitowych czynach — nie na słówkach jedwabnych.

Jakoż w okresie domowych niesnasek, które się rozpoczęły po wybuchu powstania, w rozgwarze starć z kontrrewolucją postać Wysockiego zasuwa się w cień. Lecz gdy drogą, wskazaną niegdyś przez pułki Suworowa, moskiewskie hordy pomknęły ku stolicy, twórca Belwederskiej nocy przemówił znowu, przemówił — ostrzem miecza.

Pierwszym dźwiękiem dźwięknęło ono w silnej, młodej jego dłoni w bitwie pod Okuniewem; nazajutrz zdobywało krwawe Wawru wawrzyny; grało na wysoką nutę bohaterstwa w olbrzymich zapasach Grochowa; błyskawicą śmigało w korpusie Dwernickiego; jaśniało, jak sztandar, przed 10 pułkiem linjowym, którego komendę powierzono Wysockiemu, — kąpało się w gorącej krwi, brało złote krzyże zasługi, błyskało radośnie w słońcu chwały rycerskiej, aż — nadszedł dzień szósty września, dzień zdobycia przez wrogów Woli, co była jakby główną bramą Warszawy.

Wola — to polskie Termopile, a zarazem Golgota polska! Tam 1200 ludzi walczyło od brzasku do południa z nieprzyjacielem, co rozporządzał siłą 22 tysięcy wojska i 200 dział, walczyło na szańcach, których obrona wymagała co najmniej 4 tysięcy zbrojnych; tam śmierć rozpostarła szeroko zagony, a żołnierz polski padał gęsto trup obok trupa, ale nie wołał o pardon, a kiedy w jednym, jedynym wypadku groźne widmo śmierci wyrwało z młodzieńczych ust jakiegoś żołnierza prośbę o życie, własny oficer przebił go szpadą. Tam — gdy po dwugodzinnym zażartym boju dwie kolumny nieprzyjacielskie zalały, »jak lawa błota«, szaniec 54, a wszelka walka stała się niepodobieństwem, Ordon wysadził go w powietrze, kładąc kres życiu swoich i wrogów. Tam poległ śmiercią bohatera osiwiały jenerał Sowiński. Tam też bił się po raz ostatni Wysocki, który dowodził podczas szturmu częścią piechoty. Ranny od granatu w nogę, bro-

*) Pamiętnik Piotra Wysockiego o powstaniu 29 Listopada 1830 r. Paryż.

czący krwią, zemdlony, dostał się w ręce nieprzyjacielskie, jako jeniec wojenny.

Okrutnem było przebudzenie się Wysockiego w kajdanach niewoli. On, co pierwszy podniósł płomienny sztandar buntu; on, co był dotąd wszędzie, gdzie ojczyzna miecza, ramienia i serca potrzebowała, on ma być skazany na bezczynność, na przysłuchiwanie się bierne muzyce dział, dźwięcznej pieśni oręża? Nie wiedział, że zdradziecka starszyzna, co nie uratowała Woli, choć miała środki po temu, rozpoczęła już była wówczas hańbiące układy, a we dwa dni później, miała podpisać kapitulację Warszawy i wytrącić z rąk bohaterskiego wojska broń, wsławioną na polach Wawru, Dęba, Białołęki Grochowa, Stoczka!

Jakoż 8. września wojska moskiewskie zajęły Warszawę, a jej oswobodziciel wracał, brzęcząc łańcuchami, do ukochanego miasta, aby w ciemnych jego lochach skosztować gorzkiego chleba niewoli. — Skazano go na śmierć, ale ciż sami sędziowie, którzy byli autorami wyroku, zachęcali Wysockiego, by podał do cara prośbę o darowanie życia. I w tym jednak wypadku bohater rewolucyjnej Polski pozostał wierny samemu sobie i na podanym papierze nakreślił pamiętne słowa: »Nie dlategom broń podjął, ażebym prosił cesarza o łaskę, ale dlatego, żeby jej mój naród nigdy nie potrzebował«.

Mężnie i ze spokojem gotował się na śmierć. Ale ciemięzców wola uznała zapewne, że kto ukochał ojczyznę taką, jak on miłością, temu szybka śmierć zbyt skromną będzie nagrodą i kazała mu pić kropla po kropli z kielicha męki.

Przez trzy lata służalcy carscy dręczyli jego ciało i targali duszę w więzieniu warszawskiem, a potem — utartą przez polskie stopy drogą — pognali go w lody Sybiru, do Aleksandrowska pod Irkuckiem.

Z rozkoszą chwytała szeroka jego pierś powietrze stepów, a w groźnych poszumach sybirskiej tajgi ucho rewolucjonisty słyszało melodję pieśni nad pieśniami — pieśni wolności.

I opętała go znowu ta pieśń-czarodziejska. Zerwać kajdany, odzyskać wolność choćby na chwilę, choćby za cenę życia — stał się jedynem jego marzeniem I oto układa z kilku towarzyszami wygnania plan ucieczki przez Syberję, góry Ałtajskie i Turkestan do Indji, a stamtąd do Europy. Trudne przedsięwzięcie, ale Wysocki do łatwych rzeczy nie był przyzwyczajony, a zresztą śmiałkom sprzyja los.

Jakoż wygnańcy nasi wymknęli się z Aleksandrowska bez przeszkody, przebiegli kilka mil i stanęli szczęśliwie nad Angarą. Tu ofiarował się ich przewieźć łódką na drugą stronę chłop sybirski. Wsiedli pełni otuchy, gdy nagle świsnęły kule, a jedna z nich głęboko utkwiła w ramieniu Wysockiego. Ten drgnął, spojrzał w kierunku otrzymanego strzału i ujrzał na bystrych wodach Angary kilka zbrojnych łodzi. Była to obława, którą Moskale urządzili na uciekających wskutek zdrady niejakiego Kasperskiego, kryminalisty z Lublina, który został lekkomyślnie wtajemniczony w plan ucieczki.

Wysocki i pięciu jego towarzyszy, ujęci na wyspie, zostali ponownie odwiezieni do Irkucka, gdzie przykuto ich do taczek i rozpoczęto śledztwo. Wysocki po roku więzienia został skazany na tysiąc kijów i ciężkie roboty w kopalniach nerczyńskich. — Jakże słodką byłaby się wydała polskiemu bohaterowi śmierć w zestawieniu z tą karą hańbiącą! Zniósł ją wszakże, bo należał do rzędu ludzi, których okoliczności nie łamią i powędrował pod surowsze jeszcze niebo, dalej od słońca i ojczyzny, — do Akatui.

Tam, przykuty do taczki, w ciągu dwóch lat noce spędzał w ohydnem więzieniu, a dni w kopalniach, ze złoczyńcami, na ciężkiej robocie. Nakoniec użaliła się nad losem jego władza górnicza i w tajemnicy przed rządem pozwoliła zamieszkać w Akatui na wolnej stopie. Wówczas, na wzór Cyncynata, Wysocki wziął się do pługa, zaczął uprawiać z właściwą sobie gorliwością i energją — jałową rolę sybirską. A gdy macosza ziemia wygnania dostarczyła mu cokolwiek środków do życia, były pułkownik założył mydlarnię i owocami swej pracy dzielił się szczodrobliwie z potrzebującymi pomocy towarzyszami niedoli, oraz ubogą ludnością tubylczą, która otoczyła go czcią i miłością.

Burze życia przeszumiały nad wygnańcem polskim, nie nadwerężając w niczem posągowej jego postaci. »Piotr Wysocki jest jeszcze człowiekiem czerstwym i w sile wieku — pisał Giller, który go odwiedzał w 1854 r. w Akatui. — Wysokiego wzrostu, barczysty, postawa wyprostowana, wojskowa. Włosów szatyn, siwych jeszcze nie ma. Oko bystre, błękitne, nos duży, czoło małe, a wyraz twarzy wojowniczy i pełen miłości. Głos ma potężny. Mówi, jakby komenderował, a gdy opowiadał, jakie to wiersze przed rewolucją 1830 r. młodzież czytywała, z jakich natchnień czerpała i zadeklamował kilka ustępów z Konrada Wallenroda Mickiewicza, zdawało się mi, że słyszę dowódcę, który stojąc przed frontem swego pułku, wkrótce go na bój poprowadzi i że go pułk cały słyszy.*)

I świeżość uczuć musiał zachować młodzieńczą, jeżeli odczytując ze swych pamiętników w obecności tegoż Gillera opis zrywania na placu Marsowym szlif Łukasińskiemu i dwom innym spiskowcom, wybuchnął rzewnym, nieutulonym płaczem...

Wszystko ma swój koniec, wybiła więc i dla Wysockiego godzina wyzwolenia. W 1857 r. pozwolono mu wrócić i zamieszkać w rodzinnem mieście Warce pod warunkiem, że z niej zgoła

---

*) Agaton Giller. Opis Zabajkalskiej krainy T. II. str. 101.

wydalać się nie będzie. W otoczeniu więc, w którem upłynęło zaranie jego młodości, spędził sędziwy żołnierz ostatnie lata życia bogatego w poświęcenie, chwałę, ból — i tam zstąpił w ciszę i blask grobu...

Marja Wysłouchowa.

O kwestji tak zwanej „kobiecej“

ZE STANOWISKA NAUK PRZYRODNICZYCH

Dr. B. Dybowski.

(Ciąg dalszy).

Z chwilą uspołecznienia ów czynnik, który nazywamy popędem do życia towarzyskiego, a który powstał z racji pobudek czysto utylitarnych, mianowicie większego bezpieczeństwa życia w gromadzie, staje się główną szkołą wychowawczą postępu; pod jego wpływem rozpoczyna się proces różniczkowania i wyodrębniania osobników organicznych w ogólności, zaś w szczególności osobników męskich i żeńskich.

Proces rozwoju rodowo-społecznego miał początkowo tylko same popędy czysto fizycznej albo fizjologicznej natury za bodźce: bezpieczeństwo wszystkich, a nadto zbliżanie się osobników płciowych dla celów generacji — dopiero miłość macierzyńska zadzierzgnąć potrafiła pierwsze węzły psychiczne wyższych poziomów i wytworzyła pierwsze spójnie społeczne, z nich wykształciły się stowarzyszenia coraz wyższe, coraz bardziej skomplikowane, aż doszły do zenitu naszych dzisiejszych stosunków, które się ułożyły w formy przejściowe państw nowożytnych.

U owadów, u ptaków, u zwierząt ssących do granicy społeczeństw ludzkich, widzimy wprawdzie bardzo często łączenie się osobników w celu uformowania stowarzyszeń, ale te ostatnie nie przekraczają tam nigdzie stopnia rozwojowego, zwanego rodziną, albo co najwięcej formy „zadruhy“ sławiańskiej czyli połączenia kilku rodzin w jeden związek społeczny. W takich stowarzyszeniach stoi żeńskość pod względem inteligencji wyżej nad męskością, pod względem siły fizycznej prawie na równi z tą ostatnią, albo też nieco niżej. W tabunach dzikich „Dżigitajów“ (*Equus hemionus*), dzikich „Zyrenów“ (*Antilope sub gutturosa*), w stadach bydła stepowego, daurskiego, przewódcą, kierownikiem tabunu lub stada jest samica, samiec co najwięcej jest tu obrońcą i sułtanem. U pszczół, trzmieli, os, mrówek samice są królowe, one stanowią oś główną stowarzyszenia całego, gdy samce są najczęściej niedołęgami, upośledzonymi duchowo i fizycznie.

Wyższość inteligencji samic nad inteligencją samców w zakresie zwierząt udomowionych, żyjących stadami, została po większej części ogólnie uznaną. Ogiery np. w tabunach koni zabajkalskich, przez pół dzikich, com je poznał dokładnie, bom je obserwował w ciągu lat kilku, chronią „kosiaki“ od napadu wilków, lub od najścia ogierów przybłędów, ale nigdy nie są kierownikami stada. Tabun koni rozpada się na drobne „kosiaki“. czyli stadka, w każdem z nich sułtanem, obrońcą jest ogier, ale kierownikiem jedna ze starszych klaczy. Ogiery są zwykle głupie i tak w całości oddane czynnościom haremowym, że do czego innego nie są zdatne; ich nazywają zwykle „bezputymi“, czyli bezmyślnymi i do jazdy nie używają. Jeździec na ogierze nie trafi do domu w zawieję, bo jego wierzchowiec pójdzie za pierwszym śladem obcego tabunu, do polowania ogiery również się nie nadają, bo rżą i hałasują przy lada okoliczności, nadto są one nieuważne, niespokojne, nieposłuszne, a przytem są złe i krnąbrne, kąsają jeźdźca przy siodłaniu i kopią go przedniemi nogami, zdradzają one wprawdzie siłę swej indywidualności męskiej, ale nie siłę inteligencji wyższej. Otóż wybór ogiera tabunowego za przykład, mający nas przekonać o zmyślności samców, uważać muszę za chybiony. Takie przykłady, jak i wiele innych, używanych przez rozmaitych autorów dla celów udowodnienia założeń apriorystycznych, dają tylko smutne świadectwo o tem, jak się to naciąga dowolnie fakty dla upozorowania słuszności wniosków, z góry nakreślonych, a które nadto są osnute na tle naszych przesądów społecznych. Chciałbym szczerze, ażeby autorom, stawiającym zmyślność ogierów tabunowych po nad inteligencję klaczy i przypisującym im kierownictwo stadem, nadarzyła się kiedy konieczność odbywania większej podróży po niepewnych drogach na grzbiecie ogiera, a ręczę, że przeklęliby i swego wierzchowca i swój pomysł chwalenia i wynoszenia tego, o czem słyszeli tylko z opowieści. Samce służą zwykle za obrońców stada, ale nie są przewodnikami, zaś pod względem zmyślności stoją niżej od samic.

Ażeby dać pojęcie »o szczególnej własności orjentowania się w stosunkach stepowych« wprawdzie nie samców wyłącznie, ale przeważnie samic, które według moich obserwacji są zwykle bardziej inteligentne, niż samce, posłużyć może fakt następujący: Pewien kozak zabajkalski ze „stanicy“ „Kiry“, wsi strażniczej, położonej na pograniczu Mongolji, przedał był do „Urgi“, miasta stołecznego jednej z prowincji chińskich, klacz ze swego tabunu. Po kilku latach wróciła klacz rzeczona do domu i przywiodła ze sobą „kosiak“ koni obcych; wracała ona nie drogą karawanową, po której dostała się do Mongolji i gdzieby ją niechybnie złowiono, lecz szła odludnemi miejscowościami, przez góry, rzeki i doliny, wcale jej nieznane. Sprzedana powtórnie w „Urdze“, znowu wróciła do domu,

lecz tym razem tylko ze swem źrebięciem. Okoliczność rzeczona była prawdopodobnie powodem, że ją już po raz trzeci sprzedawać nie miano ochoty. Takie przywiązanie do stron rodzinnych, taka miłość ojczyzny, którą widzimy jasno uwydatnioną w przykładzie przytoczonym, jest, jak i wiele innych dodatnich przymiotów, właściwością duchową tych gatunków i tych płci, u których miłość rodzicielska jest silnie wykształconą. Samce, żyjące w wielożeństwie, zwykle ani miłości rodzicielskiej, ani miłości rodziny nie posiadają wcale, dla nich wystarcza treść przysłowiowej dewizy szczepu germańskiego: *ubi bene ibi patria* *). Ogier nabyty nie ucieczе z tabunu, byleby miał swój harem uprowidowany huryskami w dostatecznej mierze, ale klacz kupna ucieczе z tabunu i uprowadzi niekiedy za sobą i inne konie. Rodzina i w niej zrodzona miłość rodziny są pierwszymi warunkami wykształcenia społeczeństw, a wszędzie tam, gdzie, jak powiada autor niżej cytowany, »matka natura samowładnie stanowi o stosunkach osobników płciowych«, zawsze inteligencja niewieścia ma przewagę nad męską, bo w niej miłość rodzicielska jest silniej wykształcona. Inteligencja męska wznosi się tylko w tych wypadkach na wyższe poziomy, gdy zostaje opromieniona miłością, o której mowa, gdzie jej zaś niema, tam męskość pozostaje egoistyczną, zdegradowaną. Upośledzenie umysłowe i moralne jest stałym towarzyszem egoizmu w świecie zwierzęcym. (C. d n.).

*) Ten charakter, właściwy osobnikom plemienia germańskiego, wytworzył się prawdopodobnie na podstawie silnego upośledzenia natury kobiecej u niemek. Niewolnica każda nie śmie mieć pragnień własnych, idzie ona bezmyślnie za swym panem, który mając tylko dobro swoje na celu, nie dba o resztę. Tylko w ten sposób dałby się wytłómaczyć taki zanik instynktu miłości ojczyzny u niewiast germańskich, że się aż stał nawet powodem przysłowia. Jakkowiek uczeni niemieccy, jak Schoppius i Baltazar Wandl już w stuleciu XIV. starali się dowieść swoim ziomkom, że i kobieta jest człowiekiem, jednak nie zdołali oni wykorzenić przesądu głęboko wyrytego w umysłach teutońskich, na dowód czego mamy przykładów wiele, z pomiędzy nich wszakże wybiorę tylko następujące: 1) Nowy kodeks cywilny Cesarstwa niemieckiego wykazuje, że według zdania prawników germ ńskich »kobieta powinna zdać się na łaskę i nie łaskę mężczyzny, ona ma się czuć szczęśliwszą pod jarzmem bezprawia i nie powinna uciekać się do oręża, który jej podać może do ręki prawo«. 2) Zdanie filozofów niemieckich o kobiecie wykazuje całą tę głęboką pogardę niewiast, jaka tkwi w umysłach ich ziomków. I tak powiada Schopenhauer »że już sam widok postaci kobiecej poucza nas, że ona nie jest przeznaczoną ani do wielkich prac fizycznych, ani do prac umysłowych. Na opiekunki i wychowawczynie naszego pierwszego dzieciństwa nadają się kobiety nie dzięki swej miłości i cierpliwości, i podziwienia godnemu talentowi wżycia się w umysł dziecka, lecz właśnie dla tego, że same są dziecinne, niezgrabne i nierozgarnięte, czyli, jednem słowem, że same przez całe życie swoje pozostają wielkiemi dziećmi, a raczej czemś pośredniem pomiędzy dzieckiem i mężczyzną, który sam właściwie jest tylko człowiekiem. Z dziewczętami »powiada S.« przyroda dopuściła się tego, co w żargonie komedjopisarskim zowie się »efektem kulminacyjnym«, gdyż na przeciąg kilku lat kosztem całego życia wyposażyła je natura i nadwyczajną pięknością, i wdziękiem, i okrągłością form; wszystko to przecież służy za broń, oraz za narzędzie do zapewnienia sobie bytu, skoro tylko bowiem uda się pannie pozyskać sobie męża, traci ona bezpowrotnie zazwyczaj całą swoją piękność... Im jakaś rzecz jest szlachetniejszą« »utrzymuje S.« i bardziej doskonałą, tem później i wolniej dojrzewa. Mężczyzna zdobywa pełną dojrzałość rozsądku i swoich sił umysłowych w najlepszym razie dopiero po dwudziestym ósmym roku życia, kobieta zaś już w ośmnastym. Lecz też to taki tam i rozsądek: jest go tylko tyle, ile zdoła wystarczyć na najprostsze, a niezbędne potrzeby... Płeć niską — »poucza nas S.« — niewyrośniętą, wąską w ramionach, szeroką w biodrach, o nogach krótkich, zwać płcią piękną mógł istotnie tylko umysł męski, otumaniony i zamglony popędem zmysłowym: w tym właśnie popędzie tkwi źródło owej całej piękności urojonej. Z daleko większą słusznością, zamiast płcią piękną, mogłyby niewiasty mianować się płcią nieestetyczną. Naprawdę bowiem nie posiada ona istotnego, tudzież szczerego poczucia ani wrażliwości bądź na poezję, bądź na sztuki piękne; jeżeli zaś takie poczucie, oraz taką wrażliwość udają i niemi pochwalają się, to jest najzwyklejsze małpiarstwo, przedsiębrane w celach kokieteryjnych«.

»Moralność kobiet — mówi drugi filozof niemiecki Hartmann — jest najczęściej nieświadomą... Większość kobiet przez całe życie pod względem obyczajowym pozostaje nierozwiniętemi dziećmi i dlatego też potrzebuje aż do samej śmierci ciągłej opieki, oraz ciągłego kierownictwa.. Płeć niewieścia jest płcią nieuczciwą i niesprawiedliwą... kobiety z zamiłowaniem pławią się w potoku skłonności niezgodnych z prawem i słusznością, z urodzenia i z zamiłowania są one defraudantkami, mają wrodzoną skłonność do udawania i fałszerstw«. (Z tłómaczenia M. Wolff'a, str. 38—44). Trzeci filozof niemiecki, Fryderyk Nietzsche odznacza się także pogardą dla płci niewieściej.

Oto co w tym przedmiocie powiada dr. Zofia Daszyńska: »Uprzedzenie Schopenhauera do płci słabszej, jak twierdzi Ribot, wywołała matka. Nie wiadomo co zawiniły kobiety Nietzschemu, który ciągle przebywał w niewieściem otoczeniu .. pomimo to, z prawdziwą germańską gburowatością znęca się nad kobietami, przeznaczając im tylko rolę w pomnażaniu gatunku«. (Nietzsche — Zarathustra, dr. Z. Daszyńska, str. 32). Otóż w kraju, gdzie pogarda kobiet dochodzi do tych rozmiarów, co w Germanji, nie dziw, że się rodzą takie potwory, jak »książęta żelazne«, jak wielkorządcy afrykańscy, jak Puttkamery, Behrensprungi, jak Carnapy, jak hekatyści i hekatystki, działające w myśl dewizy Hartmanowskiej »ausrotten« etc. Gdzie została upośledzona natura kobieca, tam niema miejsca dla miłości Ojczyzny i sprawiedliwości, tam panuje zwykle egoizm bydlęcy, wstrętny szowinizm, płaski serwilizm i cynizm polityczny.

W PĘTACH

przez

Wacława Sieroszewskiego (Sirko).

7)

(Ciąg dalszy).

Aleksander z bronią na plecach i długą tyczką w ręku stał nad Ałdanem, na brzegu przepaści i patrzał w dół. Musiał przedostać się na przeciwległy brzeg, gdyż doszło go, że Jakuci zebrali się na wiec wiosenny w gromadzkim domu. Ziemi dotychczas, ma się rozumieć, nie wyznaczyli mu i nie łudził się też nadzieją, że ją dostanie łatwo. Termin dla gminnej pomocy także się kończył, chciał więc pomówić z nimi i dowiedzieć się, co postanowili.

Patrzył na białą wstęgę rzeki, na czarne i żółte plamy tu i ówdzie obnażonych piasków i rozmyślał w jakim udać się kierunku, by nie załamać się na lodzie. Wiedział, że zwykła droga zerwana, że wartki prąd w wielu miejscach porobił szczeliny i wymył szerokie oparzeliska, więc usiłował przypomnieć sobie, gdzie były spokojne smugi, na których lód zbija się w tafle grube i trwa długo. Stuknął wreszcie kijem i spuścił się po ścianie, czepiając się nierówności urwiska. Przeskoczywszy wąską szczelinę bystro płynącej wody, poszedł po ślizkim lodzie, sunąc jak wprawny łyżwiarz i pomagając sobie kijem. Słoneczna powódź żarem spiekoty spadła mu na głowę i piersi, gdy u dołu od lodów powiało chłodem. Fale ogrzanego powietrza drgały i mieniły się w oddali, niby rój skrzydlatych jątek. Najmniejszy punkcik, najcieńsza gałązka rysowały się niezwykle wyraźnie na tem tle oślepiającej białości. Aleksander widział stada dzikich gęsi wypoczywające na piaskach, ale miejscowość była zbyt otwarta dla polowania; wpadł niespodzianie na parę łabędzi, lecz spostrzegł je wówczas dopiero, gdy królewskie ptaki zerwały się do lotu.

— Ptaki białe, śnieg biały i przeklęte słońce prosto w oczy!... — Poprawił czapkę i patrzył za odlatującemi z żalem.

Nad przerębblami unosiły się stada wron i czajek; na jego widok wszczynał się między nimi straszny wrzask i hałas; wiankiem wzlatywały nad jego głową, kwiląc i kracząc długo. Na odnogach, zazwyczaj obfitujących w wartkie prądy, musiał szukać przesmyków, nierozmiękłego jeszcze lodu. Szczególniej niebepieczne były płytkie zapadliny, pełne wody, które możnaby było w bród przechodzić, gdyby nie dno nadzwyczaj pochyłe i śliskie ze szczeliną pośrodku, w którą dawszy nurka, mogło się więcej na powierzchnię nie wrócić. Przez wąskie szczeliny z urwistą krawędzią przeskakiwał z łatwością; wyrobił sobie w tem pewną wprawę, corocznie polując na gęsi. Szedł szybko, nie odpoczywał, a że droga była długa, zmęczył się i z rozkoszą odetchnął, gdy wydostał się na główne koryto. Lód tu był jeszcze bardzo gruby, a choć obnażony ze śniegu, miał twardość i spoistość marmuru. Do przeciwnego brzegu pozostało już tylko dwie wiorsty. Przebiegł je szybko.

Spragniony, trochę znużony wszedł do pierwszej jurty. Sadyba należała do Meilacha, jednego z sołtysów, przezwanego »Głowaczem«.

— Co słychać, Katarzyno Awksentjewna? Jak zdrowie? — spytał, zatrzymując się w progu. Zdjął broń i otarł pot z czoła.

— Jak się masz, Liksandra Iwanowicz; — odpowiedział mu po rosyjsku głos kobiecy z głębi jurty. — Opowiadaj co słychać! Dokąd spieszysz?... Wstąp... bądź gościem!...

— Sołtys w domu?

— Niema. Poszedł na wiec. W całej dolinie niema chłopów w domu, wszyscy poszli. Zostałyśmy same kobiety, zupełnie wolne — roześmiała się, rzuciła robotę i podeszła do gościa. Ubrana była, jak wszystkie zamożne Jakutki, w długą, jasną perkalową koszulę i kaftan czarny, kamlotowy z bufiastemi rękawami i do figury. Długie, srebrne kolczyki zwieszały się z obu stron smagłej twarzy, a na piersiach brzęczał duży, srebrny krzyż na taśmie srebrnej, ażurowej. Jedwabna, malinowa chusteczka ledwie przykrywała włosy czarne i starannie uczesane. Uważano ją za piękność i istotnie wpół świetle jurty wydawała się prawie ładną. Mieszkała jakiś czas w mieście, znała rosyjskie obyczaje i język i dowodziła z dumą, że ma w sobie krew rosyjską.

— Daj kumysu... Wiek wdzięczny będę... Umieram z pragnienia!...

— Może nastawić samowar? Może chcesz herbaty?

— Nie, spieszę się! Nie boisz się, żeby cię mąż wybił za to, że w jego nieobecności mężczyzn herbatą przyjmujesz?

— Biją mężowie i bez żadnych powodów. Albo oni co wiedzą!.. — roześmiała się gospodyni i odeszła w głąb jurty. Aleksander zamyślił się.

— Pij, cudzoziemcze, i niech ci Bóg da zdrowie i siły! — wyrzekła Jakutka, podając mu drewniany, rzeźbiony puhar, pełen białego napoju. Kawałki żółtego masła — dowód łaski — pływały po wierzchu. Kobieta nisko pochyliła się, prawie na kolana przed nim przypadła i śmiało zajrzała mu w oczy.

— Tyś piękny! — szepnęła. — Mąż nie prędko wróci!

Aleksander wstał.

— Dawno odszedł?

— Dawno. Zebranie będzie duże. Naco ci ziemia? Weź pieniądze, jeśli nie lubisz brać pokarmu. Pieniądze dadzą ci zawsze, tylko zażądaj... I spokojnie i prędko... To i jutro zdążysz... Jutro nie rozejdą się jeszcze.

— Czy tak twój mąż radzi?

— Nie, nie... to ja radzę. On nic nie radzi. On zawsze, jak wszyscy... — uśmiechnęła się i poprawiła chustkę na głowie.

Aleksander wypił kumys i począł szukać w portmonetce drobnej monety.

— Nie rób sobie kłopotu!... Wolałabym, żebyś został... — pogardliwie ściągnęła usta, lecz pieniądze przyjęła.

Na podwórzu gromadzkiego domu widać było trochę koni i ludzi. W izbie siedziało kilku »tojonów« (panów) i jedli mięso, krając je na kawałki na stole. Meilach znajdował się w ich liczbie. Aleksander przywitał ich według zwyczaju podaniem ręki i siadł na pierwszem miejscu.

— Witaj, witaj! Rozpowiadaj! Cóż, droga dobra? Którędyś przeszedł? Czy przechodziłeś koło mojej chałupy? — pytał Meilach. — Byłeś u mnie... Żonę widziałeś? Herbatą częstowała cię? — dokończył po rosyjsku — i wpił się w niego oczami.

Aleksander zrozumiał jego badawcze spojrzenie i poczuł, że się rumieni.

— Byłem. Piłem kumys.

— Czy z masłem? — szyderczo zapytał Jakut.

— Nie wiesz, czy będzie dziś zebranie?

— Już było. Poszli na objad... Znów będzie... Dlaczego nie ma być? Spraw wiele. Ale kiedy będzie, niewiadomo....

Podali Aleksandrowi mięso na talerzu. Jakuci rozmawiali w dalszym ciągu, ale widocznie krępowali się jego obecnością i wciąż spoglądali na niego.

Po objedzie wstali i wyszli; w jurcie pozostał tylko Meilach.

— O grunta, wciąż o grunta! — zaczął przyjaźnie. — Wziąłbyś sam i koniec!.. Kto odbierać będzie?... Nie ja, nie my zarzeczni Jakuci.. Mieszkaj sobie, gdzie mieszkasz... Zasiej i basta... Raz zasiejesz — twoje!... Nikt cię nie ruszy... A teraz tylko chodzisz po próżnicy, drzesz obuwie, do przerębli jeszcze wpadniesz.

— Rozumie się, że jeśli nie dacie, to wezmę...

Jakut spojrzał na niego uważnie.

— Weź, weź... my nie da — my!... Nie możemy dać... Weźmiesz gwałtem — co innego... a dać, nie można... Ziemia przecie jak kobieta: wziąłeś ją — twoja, inny przyjdzie i odbierze — też jego. Dla niej wszyscy jednacy, dla wszystkich rodzić gotowa. Chłopi biją się o nią!... Co? może o ziemię nie bywa bójek?... I jak jeszcze!... Goręcej, niż o kobietę się biją!... A czyje koło ciebie grunta?

— Kapitona.

— Widzisz, jak się dobrze składa. Kniaź nie będzie bronił Kapitona, oni się gniewają A ty czyż ulękniesz się kogo? Ty, powiadają, niedźwiedzia się nie boisz. Czy to prawda? — Zmrużył oczy i przenikliwie wpatrzył się znów w Aleksandra.

— Czego on chce odemnie? — rozmyślał tenże.

— Myślisz pewnie, że dla siebie się staram że namawiam na twoją zgubę... — rzekł Meilach. — Owszem, życzę ci dobrze. Wszak wiesz, mam żonę Rosjankę, więc troszczę się o jej ziomków. Dobrze radzę, wierz mi!..

— Złej rady nie usłucham — chłodno odparł Aleksander. — Ale najpierw pomówię jeszcze z gminą.

— Rozmawiaj, pytaj!... Dlaczego nie spytać?... A tylko ziemi nie da ci gmina... Nie może. Ej, chłopcze! — krzyknął na grzejącego się u ognia wyrostka. — Gdzie kniaź? Biegnij po niego! Powiedz, że przyszedł cudzoziemiec po grunta. Biegnij, mówię ci!...

— Był u popa, ale pewnie już poszedł.

— Więc idź, poszukaj. Nie będzie go przecie szukał cudzoziemski pan.

Wyrostek podrapał się w ucho i dość niechętnie wyszedł.

Powoli izba zaczęła się zapełniać. Na ławach zasiedli radni. Kniaź jednak nie nadchodził.

— Gdzież kniaź? Czy nie przyjdzie?

— Posyłali po niego, ale pewnie nie znaleźli.

Wszedł Kapiton, wystrojony w czapce bobrowej, w krytej manczestrem bluzie, podpasany srebrnym pasem. Podejrzliwie zerknął na Aleksandra, siedzącego obok Meilacha, ale ten zawołał zaraz wesoło:

— Ej, stary, siadaj! Zachowałem ci miejsce ciepłe, suche i blizko Rosjanina; będziesz kontent!

Usunął się i sąsiadów odepchnął.

— A kniaź?

— Kniaź zginął! Myślę, że z popem wódkę pije... Tydzień temu przywieźli popu baryłeczkę.

Ogólny gwar cichł potrochu; oczekujący rozbijali się na gromadki. Wielu wymykało się niepostrzeżenie. Aleksander myślał o Zosi i w miarę jak czas uchodził, niecierpliwił się coraz bardziej.

— Sam poszukam kniazia — rzekł energicznie.

— Najlepiej poszukaj sam! Ty go znajdziesz napewno. Wskażcie cudzoziemcowi, gdzie książe... Hej, ludzie!... — podtrzymał go Meilach.

Aleksander wyszedł; w towarzystwie chłopca chodził od jurty do jurty; kniazia naturalnie nie znalazł nigdzie i po upływie dwóch godzin zły i zmęczony wrócił do zarządu gminy.

— Więc zebrania nie będzie?

— Nie wiadomo. Czyż można urządzić je bez kniazia? Jutro pewnie.

Słońce miało się ku zachodowi. Aleksander pomyślał i powstał.

— Odchodzisz? — Nie zanocujesz? — z niepokojem zapytał Meilach. — Pozostań, razem pójdziemy.

— Jutro wrócę, a dziś muszę iść.

Zarzucił broń na ramię i puścił się ścieżką w głąb lasu. Żal mu było straconego czasu i gniewało go to, że go oszukają, a że go oszukują, nie wątpił. Wiedział również, że jeśli teraz nie dadzą mu stanowczej odpowiedzi, to będzie musiał czekać do przyszłego roku. Wiec mógł się rozejść jutro, mogło go nie być zupełnie; zbierać zaś umyślnie wszystkich przedstawicieli gminy było niepodobieństwem. Zostanie więc bez sposobu do życia i będzie zmuszony nadzwyczaj przykre, a do niczego nie prowadzące awantury urządzać. Pod wpływem tej myśli zawrócił się już z lasu. Wierzył w powrót kniazia i pragnął upokorzyć Jakutów. Przeczucie nie omyliło go. Schowany za pień drzewa na skraju lasu, widział, jak wracali przedstawiciele rodów i rodowicze. Ukazał się i kniaź w towarzystwie tego samego chłopca, co pomagał jemu w poszukiwaniach. Zdało się nawet Aleksandrowi, że wyszedł z jurty, gdzie nadaremnie pytał o niego niedawno. Zaczekał, aż znikli we drzwiach gromadzkiego domu i szybko podszedł za nimi. Wewnątrz śmiano się głośno.

— Gdzie kniaź? Zawołajcie kniazia! — wołał Meilach, naśladując głos Aleksandra.

— Czego chcesz przeklęty, cudzoziemcze?

— Niech każe oddać mi kapitonowe grunta, niech mi da babę, narzędzia i całe gospodarstwo.

— Grunta moje, a babę twoją... Zgoda!... Ona przecie Rosjanka — bronił się Kapiton.

— A to, ot, lubisz?

— Niech Meilach da figę cudzoziemcowi! Ja tak radzę.

Drzwi się otworzyły i do izby wszedł Aleksander. Widok jego zrobił na obecnych piorunujące wrażenie. Nikt się nie ruszył.

— Witaj, panie, — pierwszy oprzytomniał Meilach. — Pewnieś czego zapomniał... I dobrze się stało, bo ot, wrócił i kniaź.

Aleksander był wzburzony, ale nie okazywał tego.

— Proszę was — zwrócił się grzecznie do kniazia — przedewszystkiem zająć się moją sprawą. Poto przyszedłem, a spieszę się, by przejść rzekę jeszcze przed nocą.

— Jaką sprawą?

— O ziemię. Dlaczego kniaź udaje? Cały dzień się chował, a teraz wykręca.

Jakut zaczerwienił się i podniósł głowę.

— Nic złego nie zrobiłem, abym się miał chować. Cudzego nie pragniemy. Nie ma odpowiedzi od gubernatora, więc sprawy nie możemy załatwić.

— Co za odpowiedź! Wszakże wy prosicie w podaniu do gubernatora, aby wypędzono stąd moją córkę. Ja zostać mam przecie. Z miasta przysłano wam trzy rozkazy; w ich liczbie jest rozkaz od gubernatora, wiem dobrze.

— Na tamte myśmy odpowiedzieli.

— Więc odmawiacie? Przecie kniaź sam mi radził zaczekać na ten wiec!

W głosie Aleksandra drżał stłumiony gniew.

— Cóż ja mogę?.. — odpowiedział Jakut. — Rozkazuje gromada. Każą — dam... Ale dokoła ciebie ziemia zajęta. Tam ma grunta Kapiton, a on się nie zgadza...

— Czy się zgadzam, czy się nie zgadzam... moje, czy cudze nikomu nic do tego. Nie mamy, rodowicze moi nie mają zbywających gruntów i tyle! — z uniesieniem wykrzyknął Kapiton. — Wszystkie nam potrzebne, wszystkie w tym roku zaorzemy... Jeśli kniaź chce, niech cudzoziemca do siebie sprowadzi, albo niech go przeniesie za rzekę. Czy nie tak, ludzie moi?

— Nie mamy ziemi! Co tu gadać! — krzyknęła zgodnie gromadka, wśród której był i Tus, ojciec Toi, a nawet Żabie Oko.

— Za rzekę... Chyba na tatarskie miejsce, — obojętnie wstawił Meilach.

Obecni umilkli. (C. d. n.).

Z półki księgarskiej.

»Listopad« Andrzeja Niemojowskiego (Lwów. Księgarnia Polska). »Z cyklu; Polonia Irredenta« Andrzeja Niemojowskiego. (Księgarnia Polska). — »Dramaty« L. Świeżawskiego (Lwów, Jakubowski i Zadurowicz 1897). — »Sycylja« Michała Lityńskiego (Lwów, Gubrynowicz i Schmidt). — »Szkolnictwo na czeskiej wystawie ludoznawczej« i »Parę uwag o szkolnictwie na wystawie berlińskiej« dr. Franciszka Krczeka.

„Na pustem polu stoi topola, stara topola. W górze niebo ołowiane, dzień ma się ku schyłkowi, podyma wiatr. Topola szumi, szumi głucho, posępnie. Wiatr zmiata jej powiędłe liście, one ulatują nad polem, opadają na ziemię“...

Takim jest listopad w naturze. Ale ponura ta jesienna pora zapanowała także i wśród ludzi, w świecie duchowym. Nasze czasy to listopad wielkiej epoki.

Oto mamy przed sobą jakieś wielkie centrum fabryczne. Kopalnie węgla mieszczą się obok walcowni żelaza, a walcownie obok hut cynkowych. Linie kolejowe przecinają je i łączą, a potem biegną hen przed siebie w świat daleki. Nad wszystkiem zawisła ponura listopadowa groza.

Młody człowiek, o gorącej fantazji i usposobieniu marzycielskiem, jednem słowem to, co zwykliśmy zwać poetą, znalazł się w tem środowisku i zaprzężony do żmudnej pracy przemysłowej wieczorami tylko siada przed domem i kiedy nadpłynie „okręt nocy“, u którego „masztu chwieje się lampa miesiąca“ widzi spoglądające ku sobie tłumy młodzieńczych swoich marzeń, co „wysyłają tysiące drżących, załzawionych spojrzeń, szukających go na dnie tych wód powietrznych, jego, druha wypraw burzliwych, dawno zaginionego“.

I ze smutkiem, z rozgoryczeniem człowiek ów porównuje siebie i swoich rówieśników, do księżyca już wyziębłego, który krąży około starszej, ale buchającej jeszcze wulkanami ziemi, i zestawia ze sobą te dwie planety, jak „Dwa pokolenia“.

W goryczy tej wiele niewątpliwie bolu człowieka, zaprzężonego do niewłaściwego sobie jarzma, z czego jednakże nie wynika, aby nici serdeczne nie wiązały go z otoczeniem, w którem żyje. Owszem, kiedy na „Wózku góralskim“ zmierza w Tatry dla odetchnięcia, w marzeniach widzi za sobą „morze dymów kłębiące się mętnie, a wśród tego morza dymów, kominy niby maszty strzelające“, dobiega go gwar, głosy wołające i ręce się ku niemu wyciągają i widzi „twarze ponure i oczy świecące przez morze dymów“...

Bo ból i cierpienie — to najsilniejsze węzły między ludźmi. A bólu i cierpienia mnóstwo w „Listopadzie“. Jak w bajce widzimy tam „Starowinę“, co o dalekie mile idzie do fabryki, aby odwiedzić chorego syna. Może to ten sam młody chłopak, któremu nogę przepaliła dotknięciem „Żmija“ rozpalonego żelaza w walcowni?...

A na tych dwojgu się nie kończy. Obok nich staje „Stara warjatka“, której rozum pomieszało od chwili kiedy jej męża wraz z setiną robotników w podziemiu kurzawka zatopiła i „Maszynista“, który czuwając noc całą u motoru windy, znużony snem staje się mimowolnym powodem katastrofy i ci wszyscy ciemni, a nieszczęśliwi z masy roboczej, co szaleją rozpustą, a nawet zbrodnią, kiedy w »Dniu wypłaty“, pieniądz ten, „Papierowy djabeł“, pomiędzy nich pójdzie, i wiele innych bolów, krzywd, nieszczęść i smutków...

Czasem umysł marzyciela wybiega poza mury fabryki i widzi tyle świata, ile w najbliższem jej otoczeniu zasięgnie; gorzko się uśmiechnie na „Wizytę“ u fabrycznego dygnitarza, który każdego gościa o interes podejrzywa. Czasem „Ołowianka“ zaciekań się umysłowych usiłuje zgłębić głębiny ducha ludzkiego, a nawet wyrwawszy się w dal „Na morzu“ podziwia hart polskiego ludu w chwili burzy. A ostatecznie do tych wszystkich maluczkich, do pól i osad ojczystych woła: „Kocham“.

A że w tem wszystkiem, jak powiedziano, wiele goryczy, to nic dziwnego, bo posłuchajmy, jak to p. Niemojowski, jego to bowiem „Listopad“ streszczamy, pod sukienką rubasznej nieco przypowieści określa „Życie“.

„Gdy dziecko na świat przychodzi zjawia się natychmiast przy kołysce niewidzialny dla oczu rodziców mężczyzna, otyły, rubaszny, nabrzękły, jak piwowar. Stawia on przy kołysce dziecięcia ogromną, ale równie niewidzialną beczkę, nalaną różnymi kłopotami i zgryzotami, siada, spogląda to na dziecię, to w stronę beczki, uśmiecha się jowialnie i cmoka językiem. Dziecię, podrastając, zaczyna beczkę spostrzegać i z przerażeniem wyciąga rączyny ku matce. Ale ów mężczyzna uśmiecha się dobrodusznie, wyrozumiale, sięga do kurka i mówi:

— „Pij, bracie to twoja porcja!

„Każdy z nas patrzył z przerażeniem na tę olbrzymią beczkę i każdemu z nas zdawało się, że jej zawartość w żaden sposób nie pomieści się w brzuchu... Gdzie tam! Pomieści się daleko więcej. Czasem ów rubacha przystawi drugą beczkę... I ta się pomieści“...

Ten to pesymizm, jaki się z przytoczonego obrazka przebija, dla każdego czytelnika, na pierwszy rzut oka wyda się jedynym łącznikiem między szeregiem szkiców, nowelek, obrazków, czy też raczej dzięki poetycznemu, bardzo ładnemu stylowi, poemacików prozą, jakie wypełniają tomik opatrzony tytułem „Listopad“, Ale skoro się im bliżej przyjrzy, odkrywa się ich bliskie duchowe pokrewieństwo, widnokrąg się rozszerza, znaczenie utworów pogłębia i widzi się, że Niemojowski coś więcej chciał nam dać i dał, niż garść okruchów literackich.

Zapewne nie są one jednolite nastrojem i niejednolite wartością. Są tam przejmujące grozą choć mniej zrozumiałe, jak „Wiatr“ i skończone w realistycznem opracowaniu, jak „Automaty. Są mimo ponurego kolorytu, czyniące wrażenie zupełnie estetyczne jak „Papierowy djabeł“ są i mniej zadawalające pod tym względem, jak „W dzień wypłaty“.

Ale trzeba z niemi tak postąpić, jak z mozaiką. Po przeczytaniu tomiku trzeba myślą odstąpić o parę kroków w tył, rzucić spojrzeniem na całość obrazu a wtedy, choć są nadszczerbienia tu i ówdzie wśród kamyczków, których tytuły po większej części wymieniliśmy w cudzysłowach, wszystkie zlewają się w harmonijną całość!

Andzej Niemojowski prócz powyższego tomiku mową nie związaną, wypuścił też w świat zeszyt poezji, który stanowiąc ustęp czwarty cyklu „Polonia Irredenta“, nosi tytuł własny „W Ciszy wiejskiej“.

Ton tych poezji jest, nie powiemy: pesymistyczny, ale łzami nabrzmiały. Od wiersza „Pod krzyżem“, gdzie żegna gromadę włościan emigrantów, dążących za morze, ton ów konsekwentnie snuje się przez ośm innych utworów, aż w dziewiątym, „Odprawiny“ zatytułowanym, uderza w okrzyk nadziei, zwrócony do lirnika wioskowego:

Obejdziesz tę Polskę ogromną dokoła
Gdzie tyle zgryzoty, niedoli,
Zahuczą ci bory, zaszumią ci sioła,
Zawtórzą ci serca znękane dokoła
I ocknie się lud Twój na roli!

To nastrój poezji — a o ich wartości czytelnicy będą dostateczne mieli wyobrażenie, jeśli przypomnimy, że Niemojowski wśród autorów naszych nie należy ani do ostatnich, ani do nowicjuszów...

(Dok. nast.). *W. Dąbrowski.*

Wiadomości bibljograficzne.

Dr Geiger Ludwik. »Odrodzenie i humanizm we Włoszech i Niemczech«. Przełożył z niemieckiego Stanisław Mieczyński. Warszawa. Nakład i druk S. Lewentala.

Kraszewski Kajetan. »Ze wspomnień kasztelanica«. Przyczynek do historji obyczajów życia domowego i wychowania w końcu XVIII. wieku. Wydanie II-gie. Petersburg. Nakładem K. Grendyszyńskiego. 1896.

„Stara i młoda prasa“. Przyczynek do historji i literatury ojczystej (1866—1872). Petersburg. Księgarnia K. Grendyszyńskiego. 1897.

Z drukarni Z. Golloba we Lwowie.